GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 LISTOPADA 1933
NR. 22 ROK III

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 22
1933 R
15 — XI

KOMITET REDAKCYJNY: CZESŁAW BOBROWSKI, Dr. STEFAN BUCZKOWSKI, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, BOHDAN ŁĄCZKOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI.

ZDARZENIA i POGLĄDY

PIĘTNASTOLECIE

W oczach naszych, w oczach tego pokolenia i typu ludzkiego, jaki grupuje się dokoła Gospodarki Narodowej, dzień 11 listopada 1918 roku był nietyle zamknięciem okresu walk o niepodległą Polskę, co rozpoczęciem okresu egzystencji wolnej państwowości. Ten dzień, ten przełom, stworzył nas, uczynił nas tem, czem jesteśmy, rzucił nas na te drogi życiowe, jakiemi idziemy w swej pracy zawodowej. Ten dzień skierował nas na drogę, na której spotkaliśmy się wszyscy, — drogę pracy publicystyczno-gospodarczej. Poczucie bliskości tego niedawnego dnia stwarza formułę koncentracji sił, która daje życie naszemu pismu i pozwala przejść do porządku dziennego nad istniejącemi wśród nas rozbieżnościami, które w starych społeczeństwach Zachodu mogłyby przeważyć szalę.

Chociaż mówi się o tem raz tylko do roku, przełom listopadowy do dziś dnia pozostał jednym z czynników, kształtujących polską rzeczywistość i pozostanie nim dopóty, dopóki nie wymrze pokolenie, które było aktorami i świadkami listopadowych wydarzeń.

Od piętnastu lat mamy w Polsce otwarte drogi dla swobodnej pracy państwowej. W ciągu tego okresu przeszliśmy poważny szmat drogi. Słusznie i jeszcze zamało pisze prasa z okazji rocznicy listopadowej o dokonanym w ciągu lat piętnastu postępie, słusznie przywołuje wspomnienia podjętych wysiłków i osiągniętych rezultatów. Nam jednak w tej chwili nie o to chodzi. Nie chcemy uprzytamniać faktów, chcielibyśmy wyłuskać ich sens. Nie chcemy mówić o zmianach w strukturze wytwórczości Polski, o dokonanej odbudowie i przebudowie aparatu wytwórczego, o zmienionej roli Polski w obrocie międzynarodowym, słowem nie chcemy mówić o tem wszystkiem, co składa się na ogólny obraz gospodarki polskiej dziś i przed piętnastu laty. Chcemy mówić o jednej tylko sprawie, o sprawie czynnika ludzkiego, o zakresie i charakterze zadań, stawianych myśli gospodarczej i gospodarczej działalności dziś i przed piętnastu laty.

Wojna i rządy zaborcze zostawiły nam w spadku zdewastowany przemysł, nieobsiane lub źle obsiane pola, zrujnowane kolejnictwo i papierowy pieniądz, którego wartość w krótkim czasie spadła niemal do zera. Nikt nie ośmieliłby się twierdzić, że zadania, jakie na terenie gospodarczym stanęły przed młodem Państwem były łatwe, że nie wymagały one olbrzymiego wysiłku. Przeciwnie, warunkiem egzystencji ludności — egzystencji, bo o pomyślności marzyć jeszcze nie było można — był niepomierny wysiłek aparatu rządzącego, była wielka inicjatywa i prężność ogółu wytwórców. Natomiast pod jednym względem sytuacja nie stając się łatwą, była prostą i jasną. Pod względem naczelnego celu wszystkich wysiłków. Logika faktów narzucała ten cel. Cały szereg zagadnień, które kiedyś, później, okazały się spornemi, stał siłą rzeczy poza nawiasem dyskusji. Naczelny postulat odbudowy wytwórczości, wszystko jedno w czyich rękach, wszystko jedno za jaką cenę, usuwał w cień wszelkie subtelności myślowe. Przy prostym celu, proste środki, prosty program działania. Sytuacja wymagała, ażeby czyn następował niezwłocznie z nieomylną szybkością, sytuacja nie pozwalała, ażeby myśl hamować miała szybkość czynu. Zastrzeżenia, jakie kto-

kolwiek zechciałby wysunąć ex post w stosunku do linji polityki ogólnej i polityki gospodarczej tego pierwszego okresu, mogą być słuszne in abstracto — ale bledną na tle ówczesnych warunków.

W miarę, jak krzepło gospodarstwo narodowe, w miarę podnoszenia się dobrobytu i sprawności wytwórczej, w miarę oddalania się od prymitywnych form gospodarki wojennej i powojennej, sytuacja się zmienia. Na pozór gospodarować jest łatwiej. Gospodarowanie, to znaczy zarówno państwowa polityka gospodarcza, jak i działalność poszczególnych wytwórców, nie natrafia na te materjalne, niejako fizyczne przeszkody, które trzeba było przełamywać w pierwszym okresie. Nie natrafia na brak surowców i półfabrykatów, na zniszczenie maszyn, na absolutny brak kredytów itd. i t. d. Rękom ludzkim jest łatwiej. Ale czy łatwiej jest ludzkiej myśli? Niewątpliwie nie. Równolegle z odbudową aparatu wytwórczego i odradzaniem się przedwojennej stopy życiowej, równolegle z tem jak gospodarstwo narodowe włącza się w system gospodarki światowej, obrasta w pierze, tyje, — komplikują się zadania myśli gospodarczej. Coraz różnorodniejsze są problemy i coraz różnorodniejsze cele brane być muszą pod uwagę przy rozwiązywaniu problemów. Każdy krok, często nieświadomie dokonany, na drodze postępu gospodarczego, siłą rzeczy nasuwa nowe zagadnienia, z których trzeba znaleźć wyjście. Kiedy kończy się głód, nie można już usunąć w cień problemów, które stały w cieniu wtedy, kiedy trzeba się było koncentrować na walce z głodem. To właśnie stanowi o różnicy sytuacji dzisiejszej i sytuacji, jaka istniała, kiedyśmy rozpoczynali niepodległą egzystencję. Każdy sukces materjalny równał się stworzeniu nowego dodatkowego zadania dla myśli gospodarczej. Na tym poziomie technicznym (w wąskiem i najszerszem znaczeniu tego słowa), na jakim znajduje się już nasze życie gospodarcze, myśl nie może spóźniać się za czynem. Przeciwnie, na tych, których zawodem jest myślenie, ciąży zdwojony obowiązek dostarczenia działaczom gospodarczym wszechstronnie przepracowanego materjału.

I jeszcze jedna różnica między dawnemi a naszemi laty. Ten charakter, jaki posiadała praca gospodarcza w pierwszym okresie niepodległej Polski, charakter bliższy wojnie, niż pokojowej twórczości, bilższy improwizacji, niż świadomemu wysiłkowi na dłuższą metę, pozwalał opierać nasze życie na tem, na czem opierało się ono w ciągu olbrzymiego okresu historji polskiej: na służbie ochotniczej najwartościowszych jednostek. Na tem opierała się walka o Niepodległość, i na tem oparły się pierwsze prace nad stworzeniem zrębów gospodarczych niepodległej Rzeczypospolitej. Bez wątpienia gotowość i zdolność do podejmowania służby ochotniczej stanowi jedną z najpiękniejszych cech charakteru narodowego Polaków. Ale z drugiej strony skomplikowanie i wielorakość form współczesnego życia gospodarczego sprawia, że dziś koniecznością jest, ażeby tego rodzaju wysiłkom towarzyszył i współdziałał z niemi wysiłek zorganizowany, masowy, jeśli nie powszechny.

ZUGMUNT SZEMPLINSKI

ROSNAĆ I TRWAĆ

W ogólnej hierarchji potrzeb polskiego organizmu państwowego zagadnienie rozrostu liczebnego ludności polskiej i zabezpieczenie trwałości oraz ciągłości idej kulturalno-państwowych muszą być wysunięte na czoło celów polityki gospodarczej.

„Nauka ekonomiczna bada stosunki społeczne powstające na tle działalności gospodarczej", tak brzmi jedna z najbardziej rozpowszechnionych definicyj ekonomji politycznej. Za działalność gospodarczą jest uważana działalność zmierzająca do zaspokajania ludzkich potrzeb.

Jakich i czyich?

Od odpowiedzi na to pytanie zależy kierunek działalności jednostek, polityki gospodarczej państw i różnice między teorjami ekonomicznemi. Każdy system ekonomiczny poczynając od doprowadzonej do szczytów perfekcji i rozpracowanej we wszystkich szczegółach teorji naukowej i kończąc na niepoczytalnych bredniach jakiegoś demagoga - analfabety na wiecach wyborczych ma swoją hierarchję potrzeb, wymagających zaspokojenia. Każda doktryna społeczno-gospodarcza jest emanacją zbiorowych pragnień, nie zawsze tylko materjalnych, a w szczęśliwości nie zawsze tylko egoistycznych. Dyskusja między różnemi doktrynami winna by się właściwie zaczynać od dyskusji nad wyznawaną hierarchją potrzeb. Klasycy występowali o wolność zaspokajania potrzeb indywidualnych, List głosił ekonomję narodową, wysuwając na pierwsze miejsce interesy narodu jako całości (państwa niemieckiego jeszcze nie było), Marks stawał w obronie interesów zbiorowych proletarjatu przemysłowego. Dziś my usiłujemy dyskutować między sobą, przemilczając sprawę hierarchji potrzeb i próbujemy, — jak się trafnie wyraził p. Cz. Bobrowski — „odnaleźć objektywne kryterja dobrej polityki gospodarczej",

Dużo się na ten stan rzeczy złożyło przyczyn. Najprzód rewolucja rosyjska spowodowała u wielu ludzi awersję do zagadnień socjalnych. Dalej ideowe i polityczne bankructwo socjalizmu jako ruchu politycznego zdepopularyzowało głoszone przez niego hasła socjalne, chociażby i słuszne; analogiczna sytuacja na terenie stronnictw ludowych usunęła z pola widzenia zagadnienia społeczne wsi. Ruch umysłowy dookoła wielkich, uznawanych do niedawna za palące zagadnień socjalnych ustał. Kryzys ekonomiczny ukoronował ten proces odwrotnej ewolucji idej socjalnych wnioskiem, że „wszystkim teraz jest źle". Wyrażając się terminem freudowskim, nastąpiło stłumienie uczuć socjalnych i sublimowanie tego stłumienia do godności „objektywnie dobrej polityki gospodarczej", kierującej się logiką interesów gospodarczych w oderwaniu od ich społecznego podłoża i z zaniedbaniem pozagospodarczych skutków tej polityki.

Współczesna ideja państwa, jako instytucji, której muszą być podporządkowane interesy jednostek i klas, bynajmniej nie likwiduje zagadnień socjalnych, które wypełniły sobą historję społeczną XIX wieku, lecz zmienia tylko sposób podejścia do nich ze strony państwowej polityki gospodarczej.

* * *

Przekreślmy założenia, na których opierały się doktryny i ruchy socjalne w ubiegłym okresie historycznym. Nie mówmy o prawach jednostki do życia i szczęścia. Stańmy całkowicie na stanowisku zgodnem z duchem czasu, w myśl którego prawa i interesy jednostki muszą być podporządkowane interesom zbiorowości, konkretniej interesom narodu i państwa i spróbujmy z tego punktu widzenia spojrzeć na niektóre zagadnienia socjalne, chwilowo usunięte na drugi plan.

Bieżąca statystyka ruchu ludności sygnalizuje znaczny spadek przyrostu naturalnego w Polsce. Spadek przyrostu naturalnego w Europie Zachodniej, istniejący jako zjawisko stałe już od wielu lat, powstał na tle wzrostu zamożności, podniesienia się stopy życiowej i chęci wygodnego życia i użycia. Spadek przyrostu w Posce, jaki notujemy obecnie, jest wynikiem nędzy, spowodowanej kryzysem gospodarczym i socjalnym. Ale wiemy również, że szybki wzrost ludności jest jednym z naszych najpoważniejszych atutów w walce o miejsce pod słońcem na ziemskim globie. Sytuacja geo-polityczna nakazuje nam mieć zaludnienie gęstsze nie na wschodzie i nie wiele rzadsze niż na zachodzie od naszych granic. Głównym źródłem przyrostu ludności jest wieś, a rezerwoarem, który ten przyrost ma pochłaniać, są według utartych poglądów miasta, inaczej przemysł. Rozwój przemysłu jednak wymaga kapitałów. Kapitalizacja własna jest dla tego celu niewystarczająca, a na przypływ kapitałów zagranicznych w obecnych warunkach powszechnych dążeń do samowystarczalności gospodarczej i ograniczeń w zakresie cyrkulacji kapitałów nie można liczyć. Przeinwestowane kraje wielko-kapitalistyczne nie są bowiem zainteresowane w rozwoju przemysłu w krajach dotychczas mniej uprzemysłowionych, które mogą stanowić rynki zbytu dla ich wyrobów przemysłowych. Pozostajemy zatem skazani na rozstrzygnięcie zagadnienia o własnych siłach. Istnieją tylko dwa wyjścia z tej sytuacji: jedno podpowiada nędza: ograniczenie przyrostu naturalnego, już w bieżącym roku zapoczątkowane. Nie ulega wątpliwości, że ograniczenie przyrostu naturalnego wyda pewne dodatnie rezultaty w życiu gospodarczem. Podniesie stopę życiową, spowoduje przesunięcia w ogólnej konsumcji na korzyść wyrobów przemysłowych, podniesie stan zdrowotny ludności, znajdujący się w stanie groźnym, jak wynika z tego, że około 40% poborowych nie nadaje się do służby wojskowej z powodu chorób i słabej budowy. Osłabnie jednak ogólna ekspansja narodu, który jeszcze nie zdobył i nie zabezpieczył sobie na świecie takiej pozycji, jak narody zachodnio-europejskie, zmniejszy się siła militarna, a pozatem z całą pewnością można powiedzieć, że dzięki większej urbanizacji i wyższej kulturze, regulacja urodzin obejmie przedewszystkiem ziemie o większości polskiej, gdzie przyrost naturalny i tak jest mniejszy niż na Kresach, przez co ciężar gatunkowy mniejszości narodowych w państwie wzrośnie.

Drugiem wyjściem jest umożliwienie rozlokowania przyrostu naturalnego wsi w tejże wsi — to znaczy przeprowadzenie reformy rolnej i zmiana polityki agrarnej w kierunku popierania gospodarki hodowlanej, kierunku organicznie zrośniętego właśnie z polityką popierania drobnej własności rolnej. Wiadomo, że gospodarstwo drobne pochłania o wiele więcej pracy i daje wyższy dochód na hektar. Rozparcelowanie wielkiej własności odciąży zatem sytuację ludnościową wsi. Reforma rolna przyniosłaby niewątpliwie cały szereg dodatnich dla całości życia gospodarczego skutków — upłynniłaby zamrożone w wielkiej własności kapitały, ułatwiłaby rozwiązanie problemu cen zboża i wycofanie się z polityki kosztownej interwencji dla utrzymywania tych cen, gdyż wzrost konsumcji zboża na cele spożywcze i hodowlane byłby najlepszą interwencją. Nie o to jednak chodzi. Nie o reformę rolną, jako zagadnienie gospodarcze samo w sobie. Chodzi o to, że nędza wsi, powodująca spadek przyrostu ludności i fizyczną degenerację rasy, może skazać na fiasko wszystkie wysiłki w kierunku mocarstwowego rozwoju Polski, a za lat kilkadziesiąt spowodować katastrofę państwową.

* * *

Osobno należy zwrócić uwagę na spadek przyrostu naturalnego w miastach. Przyrost w Warszawie spadł z 6‰ w roku 1931 do 2‰ w r. b. Zmniejszenie się przyrostu naturalnego w miastach stwarza możliwość pochłaniania przyrostu wsi. To dobrze. Ale miasta są siedzibą kultury, a kultura jest w znacznym stopniu dziedziczna. Dotyczy to w szczególności inteligencji. Gospodarka Narodowa w Nr. 8 1932 r. zwracała już uwagę na fakt, że średnia ilość dzieci w inteligenckiej rodzinie w Polsce wynosi tylko 1 dziecko i jest mniejsza niż w Anglji, która ma ogólny przyrost znacznie niższy od naszego i wskazywała na wynikające z faktu niskiej rozrodczości inteligencji niebezpieczeństwo gwałtownego obniżenia się poziomu kulturalnego społe-

czeństwa w przyszłej generacji. Kto wie, czy obecne stosunki wśród młodzieży akademickiej nie są już pierwszą jaskółką, zwiastującą nadejście tego okresu. W tych warunkach nowa ustawa uposażeniowa, kasująca płace rodzinne w odniesieniu do funkcjonarjuszów państwowych zagraża zaostrzeniem i przyśpieszeniem procesu wymierania dziedzicznej inteligencji. Zachowanie płac rodzinnych dla wojskowych nie ratuje sytuacji, gdyż liczebność tej grupy inteligencji nie jest duża, a ponadto dodatek do uposażenia jest związany tylko z małżeństwem, nie zaś z posiadaniem dzieci.

Państwo, wydając tę ustawę zgłasza desinteressement w kwestjach stanu rodzinnego swoich funkcjonarjuszy i ustala wynagrodzenie jak głosi komentarz agencji „Iskra", tylko w zależności od wartości pracy. Przypomnieć się godzi, że wiele firm prywatnych od dawnych czasów stosowało zwyczaj podwyższania pracownikowi płacy w wypadku zawarcia małżeństwa, wychodząc z założenia, że pracownik rodzinny staje się bardziej przywiązany od warsztatu pracy oraz bardziej sumienny i rzetelny w wykonywaniu swych obowiązków.

Jeżeli więc kalkulacja prywatna wykazała korzyści płac rodzinnych, to nie widzimy powodu, by korzyści tych nie miało i państwo, traktowane jako pracodawca. Nie możemy jednak traktować państwa jako tylko pracodawcy. Weźmy choćby różnicę w trwałości istnienia przedsiębiorstw gospodarczych a państwa. Z tej różnicy wynika ogromne znaczenie dla państwa ustalenia się tradycji pracy państwowej zarówno cywilnej jak i wojskowej, powstającej przez dziedziczne przekazywanie zawodu. Możemy podać naprzykład Anglję, gdzie służba w kolonjach jest przekazywana w niektórych rodach już od kilku pokoleń. W naszych warunkach nowoutworzonego państwa sprawa tem bardziej przybiera na znaczeniu, że oprócz tworzenia tradycji musimy jeszcze ugruntować pozycję socjalną funkcjonarjusza państwowego, co ma niepoślednie znaczenie dla konsolidacji organizmu państwowego. Szczególnie zaś ważnem uważać należy przekazywanie właściwego współczesnemu pokoleniu, pamiętającemu czasy niewoli, opozycyjnego nastawienia psychicznego do tych wad i przywar charakteru narodowego, które spowodowały ongiś upadek państwa polskiego. A powiedzieć sobie musimy, że włościaństwo, które będzie dostarczycielem nowej intelegencji, nie przezwyciężyło tych przywar w dostatecznym stopniu. Skrajny egoizm stanowy, wyuzdana demagogja i brak poczucia odpowiedzialności za państwo, występujące tak silnie w ideologji polityczno-społecznej wielu ugrupowań ludowych są tego wymownym przykładem i przywodzą na pamięć reminiscencje o stosunku do idei państwowej szlachty w klęskowym dla Polski wieku XVIII. Nie ulega wątpliwości, że dopływ nowej inteligencji jest zjawiskiem zdrowym, ale musi odbywać się w proporcji, zapewniającej asymilację kulturalną. Nowa ustawa uposażeniowa, która czyni możliwem urzędnikowi założenie rodziny dopiero w VI, a właściwie mówiąc, dopiero w V stopniu służbowym, do których dochodzi się w wieku dość późnym, doprowadzi spadek rozrodczości inteligencji niemal do zera. Dodajmy do tego, że wyżsi urzędnicy, wykorzystując swoje wpływy, będą umieszczali swe dzieci w jakichś bardziej lukratywnych zawodach. Sprawa jest tem poważniejsza, że warstwa urzędnicza powstała w Polsce z ludzi, którzy w mniejszym lub większym stopniu przyczynili się do odbudowania państwa oraz ludzi, którzy wychodząc z pewnych założeń ideowych, często nie chcieli iść w służbę prywatno-gospodarczych interesów, które tak często u nas są interesami obcemi narodowo i państwowo. Znaczna jeszcze część budowniczych Polski dzisiejszej nie miała możności założenia w odpowiednim wieku rodziny. Komuż zostanie przekazane dziedzictwo ideowe, zrodzone z walk i trosk o nowe Państwo, razem z dziedzictwem doświadczenia, możliwem do przekazania tylko w atmosferze codziennych rozmów i myśli, tak ważnych, gdy chodzi o psychiczne nastawienie, a tak nieuchwytnych, że nie można ich utrwalić na papierze.

Reasumując twierdzimy, że nowa ustawa uposażeniowa w imię ustalenia pewnej, bardzo zresztą dużej części budżetu państwowego, podcina możliwości ustalenia się warstwy urzędniczej i wypracowania przez tę warstwę trwałych idej i tradycji służby państwowej, zrodzonych pod wpływem ideowym ludzi bezpośrednio o Państwo walczących, którzy, jak powyżej stwierdziliśmy, w znacznej części zejdą ze świata bezpotomnie. Skutki tego stanu rzeczy mogą, przy nieuniknionej w przyszłości zmianie pokoleń u steru władzy państwowej, spowodować zmiany mentalności politycznej, zbyt gwałtowne, co jest zawsze niepożądane, nie mówiąc już o obawach co do samego ich charakteru.

JÓZEF PONIATOWSKI

JESZCZE O RÓWNI ZŁOTEJ

Cykl artykułów p. Kazimierza Studentowicza, zamieszczony w kilku ostatnich numerach „Gospodarki", a poświęcony walce ze złotym parytetem walut, domaga się odpowiedzi. Nie istnieje wprawdzie niebezpieczeństwo zastosowania w Polsce wskazań Autora. Powołanie społeczeństwa do wysiłku Pożyczki Narodowej dowodzi, że polityka gospodarcza nie zamierza wejść na łatwiejsze drogi, a społeczeństwo przy tej okazji wykazało gotowość do ofiar dla obrony pieniądza, zagrożonego od strony budżetu. Chodzi mi natomiast o rozproszenie ewentualnych przypuszczeń, jakoby ogół współpracowników „Gospodarki" podzielał poglądy p. Studentowicza.

Lwia część omawianego cyklu została poświęcona wykazaniu złych stron waluty złotej. W pewnej mierze jest to wyważanie drzwi otwartych, zresztą nieszkodliwe. Żaden bodaj ekonomista w Polsce nie twierdził nigdy, że waluta złota jest doskonała, a zwłaszcza, że wahania wartości złota nie wywołują poważnych skutków ujemnych. Spopularyzowaniu tej świadomości wielce się przysłużyło polskie tłumaczenie książeczki prof. Irvinga Fisher'a p. t. „Złudy pieniądza", mogącej służyć za wzór udostępnienia laikom zawiłych zagadnień pieniężnych, co zresztą nie oznacza, byśmy się mieli podpisywać pod filisterskiem ujęciem teorji ilościowej. Nawet sztandarowi wrogowie złotej waluty nie przedstawiają jednak zagadnienia regulowania wartości pieniądza jako łatwego, albo całkowicie rozwiązanego. Poświęcają też sporo uwagi projektom stabilizowania wartości złota, co pozwoliłoby na poprawienie własności pieniądza bez odstępowania od równi złotej. Złoto, jako podstawa waluty, ma ten niewątpliwy plus, że wahania jego wartości są ograniczone, następują stopniowo i mogą być przewidywane ze znaczną szansą prawdopodobieństwa. Wykończonego systemu waluty manipulowanej, któryby zyskał bądź powszechne uznanie teoretyków, bądź został wypróbowany w praktyce, dotąd niema. Kraje, które odstąpiły od waluty złotej, są widownią nagłych i niespodzianych zmian wartości pieniądza, zależnych od niepoddających się przewidywaniom czynników subjektywnych, o ile nie stabilizowały ponownie swych walut w stosunku do złota. Dlatego potępienie przez p. Studentowicza polityki krajów, broniących waluty złotej, wydaje się conajmniej przedwczesne.

Omawiane artykuły nie zawierają, jak dotąd, propozycji zastąpienia dzisiejszego systemu pieniężnego przez jakiś inny system, którego mechanizm zostałby konkretnie przedstawiony. Autor zaleca krajom, których bilans płatniczy nie został „zrównoważony" (tym nieścisłym terminem wielu autorów oznacza odpływ rezerw kruszcowo - walutowych), pomimo zastosowania „normalnych" środków (ta normalność także dość słabo określona) „puścić kurs i pozwolić mu się ustalić na jego właściwym parytecie gospodarczym, ku któremu on sam automatycznie ciąży i do którego dojść musi z taką samą nieuchronną koniecznością, z jaką kamień rzucony do góry musi spaść z powrotem na ziemię". Temu „gospodarczemu parytetowi", „określonemu wzajemnym stosunkiem poziomów cen różnych krajów", poświęca p. Studentowicz sporo miejsca. Bardzo cenię prawa ekonomiczne (w przeciwieństwie do p. A. Falka, który niedawno zamieścił aż dwa artykuły poświęcone — bagatelizowaniu ekonomji i jej praw), ale właśnie dlatego ostrzegam przed rozczarowaniem, do którego zawsze prowadzą próby stosowania tych praw bez należytego uwzględnienia warunków ich działania. Automatyczne regulowanie się wzajemne poziomu cen i kursu walut działało sprawnie za czasów wolnego obrotu towarów i kapitałów, oraz stałych zasad polityki emisyjnej. Jeśli się równocześnie zastosuje „liberalną" (czytaj: inflacyjną) politykę kredytową, a kursy większości innych walut wykazują w tym samym czasie różnorodne zmiany, wtedy ów kamień nie spadnie na twardą ziemię, lecz na wciąż się usuwające urwisko i twierdzenie o zatrzymaniu się na „właściwym" poziomie straci realny sens. Autor powiada, że kraje zainteresowane „nie powinny" przeszkadzać krajom dłużniczym w ratowaniu ich bilansów płatniczych przez stosowanie zarządzeń retorsyjnych. Chodzi tu zapewne o środki przeciw t. zw dumpingowi walutowemu. Obawiam się, że pomimo pobożnego życzenia p. Studentowicza środki te mogą być nadal stosowane, że nadto istniejące skrępowanie obrotów, choćby nie było wywołane chęcią retorsyj, niesłychanie utrudnia wszelką samoczynną regulację, że wreszcie częstą odpowiedzią na zniżkę kursu waluty jednego kraju jest analogiczny zabieg konkurenta.

Wszak „poprawa" bilansu płatniczego jednych krajów musi stanowić „pogorszenie" innych, na co te ostatnie zazwyczaj nie chcą się godzić. Jak można liczyć na skuteczne uaktywnienie rozrachunków z największym wierzycielem — Stanami Zjednoczonemi, drogą obniżenia kursów walut dłużniczych, skoro wierzyciel wstąpił na tę samą drogę, za co spotkała go również pochwała p. Studentowicza. Autor słusznie stwierdza, że odstąpienie od waluty złotej przez znaczną liczbę państw zmniejsza wartość waluty złotej jako powszechnie przyjętego narzędzia wymiany. Nie spostrzega jednakże, że ta sama przyczyna powoduje iluzoryczność prób szukania „gospodarczego parytetu" dla jednej z walut w okresie zmienności innych.

Niespodzianką było dla mnie przedstawienie deprecjacji waluty jako środka — ratowania zaufania i kredytu, zagrożonego pod panowaniem waluty złotej. Wierzyciel w okresie deflacji „nie może otrzymać ani odsetek zgóry umówionej wysokości, ani też zwrotu kapitału w terminie płatności, a zatem zostają zniszczone dwa najbardziej podstawowe czynniki zaufania, nie mówiąc już o stratach kapitałowych, które również są na porządku dziennym". Bardzo osobliwy argument! Brak ryzyka nie może być podstawowym czynnikiem zau-

fania, choćby dlatego, że jest wogóle niezniszczalny. Ryzyko konjunkturalne i ryzyko niewłaściwego wyboru dłużnika zawsze obciążają wierzyciela, a jego współodpowiedzialność z dłużnikiem dostatecznie, jak sądzę, oświetlił prof. Tennenbaum w swej „Strukturze gospodarstwa polskiego". Wraz z większem ryzykiem deflacja przynosi wierzycielowi premję w postaci zwiększenia realnej wartości jego wierzytelności. Zrzekając się części tej premji, wierzyciel może skutecznie zmniejszyć ryzyko bankructwa dłużnika. Nie niszczą trwale zaufania straty, wynikłe z wypadków nieopanowanych dotychczas przez człowieka, ani będące konsekwencją błędnej dyspozycji kapitalisty. Niszczy zaufanie tolerowanie niedotrzymywania zobowiązań, a zwłaszcza niedotrzymywanie zobowiązań publicznych. Odstąpienie od parytetu jest właśnie jednostronnem przekreśleniem publicznego zobowiązania. Zaszkodziłoby ono zaufaniu więcej, a zwłaszcza trwalej, niż fala bankructw, która nadto mogłaby wzmocnić zaufanie dzięki wyeliminowaniu słabszych przedsiębiorstw. Obserwacja wykazuje, że w krajach, które odstąpiły od parytetu, zapanowuje niepewność co do dalszego kształtowania się kursów, co zapewne nie wzmacnia zaufania. Liczne ucieczki kapitałów z krajów o zniżkującej walucie świadczą, że kapitaliści niebardzo ufają zalecanemu przez p. Studentowicza sposobowi zabezpieczenia ich od ryzyka.

Słusznie podkreśla p. Studentowicz, że pomieszanie w szerszych kołach społeczeństwa pojęć inflacji, deprecjacji i dewaluacji wywołuje pewien szkodliwy zamęt. Na to zjawisko zwróciłem już przed kilku miesiącami uwagę czytelników „Gospodarki" („Dolar i nerwy„ w Nr. 10 G. N.). Inflacja i deprecjacja, o ile się nie łączą, wywołują niemal przeciwne skutki w dziedzinie cen i dlatego precyzowanie tych pojęć jest konieczne wszędzie tam, gdzie właśnie chodzi o wywołanie określonych skutków w tej dziedzinie.

O wywołanie określonych skutków w dziedzinie cen chodzi właśnie p. Studentowiczowi. Deprecjacja ma, zdaniem Autora, jak o tem już wyżej wspomniałem, służyć wyrównywaniu bilansów płatniczych, dzięki umożliwieniu takiego obniżenia cen, które przy zastosowaniu innych środków nie byłyby możliwe. „Bilans płatniczy — czytamy w art. p. t. „Bilans płatniczy i kurs pieniądza" — może wtedy tylko pozostać w okresie przesilenia gospodarczego zrównoważony, gdy spadek krajowego poziomu cen nadąża za obniżającym się poziomem cen światowych. Nie wystarczy, żeby krajowy poziom cen wogóle spadł, ale jest nieodzownym warunkiem, żeby spadał dostatecznie szybko i spadł dostatecznie głęboko". Możnaby się spierać, czy rzeczywiście spadek kursu waluty zawsze do tego wyniku doprowadzi. Wyniki, osiągnięte na polu konkurencyjności towarów krajów o zdeprecjonowanej walucie naogół zawiodły oczekiwania. Analiza tego ciekawego zjawiska wymagałaby obszerniejszego omówienia. W każdym razie, skoro p. Studentowicz pragnie skutecznie obniżyć ceny krajowe, a równocześnie najostrzej zastrzega się przeciw mieszaniu pojęć inflacji i deprecjacji, wydaje się jasne, że Autor stoi mocno na stanowisku deprecjacji bez inflacji. Tymczasem nie bez zdumienia czytamy w artykule p. t. „Zniżka cen i kredyt" (G. N. Nr. 20) obronę pozytywnej odpowiedzi na tak sformułowane zagadnienie: „Powstaje zatem pytanie, czy nie lepiej byłoby prowadzić tak liberalną politykę kredytową, któraby potrafiła zapewnić wspomnianą wyżej płynność, bez oglądania się na fakt, że musi to w swojej konsekwencji doprowadzić do załamania się kursu waluty krajowej". A zatem: deprecjacja, jako skutek inflacji. „Odpowiedni wzrost cen jest bowiem tą deską ratunku, ku której całe życie gospodarcze napróżno wyciąga ręce"...

Spróbujmy teraz zbudować z poglądów, wyrażonych w ostatnich artykułach p. Studentowicza, praktyczny program polityki pieniężnej na najbliższą przyszłość. Wyzbądźmy się przedewszystkiem „groźnego przesądu", łączącego pojęcie „koniecznego i zbawiennego spadku kursu pieniądza" z pojęciem inflacji. „Konieczny i zbawienny spadek kursu pieniądza" należy stosować dla tem silniejszego obniżenia cen wewnętrznych, którego nie dałoby się w tym samym stopniu osiągnąć przez stosowanie innych środków. Kraje o niepomyślnej strukturze bilansów płatniczych mają się uciec do deprecjacji dla wzmożenia zdolności konkurencyjnej, a ich bogatsi konkurenci — dla oddłużenia swej gospodarki. Inflację zaś („liberalną politykę kredytową") należy zastosować dla uniknięcia klęsk, powodowanych przez spadek cen. Należy się chwycić „deski ratunku" w postaci wzrostu cen, który nastąpi w konsekwencji liberalnej polityki kredytowej, prowadzonej „bez oglądania się na fakt, że musi to w swojej konsekwencji doprowadzić do załamania się kursu waluty krajowej", które to załamanie się kursu należy znowu precyzyjnie oddzielić od zjawisk inflacyjnych. Nieprawdaż, jak prosto i jasno rysuje się w tym programie hierarchja celów i środków! A w konsekwencji wzmoże się zaufanie, uzdrowią stosunki kredytowe.

Poszukiwanie sposobów uchronienia, przynajmniej częściowego, gospodarki światowej od klęsk, powodowanych przez zmiany wartości złota jest pięknem polem pracy. Nie sądzę, aby celem tej pracy miało być osiągnięcie stałego poziomu cen, co wydaje się gospodarczo niepożądane, natomiast celem tym może być eliminowanie tych przyczyn zmiany wartości pieniądza, które leżą po stronie pieniądza. Chodziłoby o otrzymanie prawdziwego, t. zw. niezmiennego miernika wartości, nazywanego w najnowszej literaturze fachowej „pieniądzem neutralnym", co nie wyłącza, że mierzone tym miernikiem ceny towarów mogłyby się zmieniać pod wpływem zmian, zachodzących w produkcji. Nie jest pewne, czy i taki „pieniądz neutralny" mógłby ·yć uznany za ideał, jest bowiem możliwe, że usunięcie dodatnich funkcyj, pełnionych przez kolejne wahania inflacyjno - deflacyjne nie byłoby dobre. W każdym razie poszukiwania na tem polu są usprawiedliwione. Ich ogólnym celem byłoby zwiększenie pewności gospodarowania. Recepty zaś porzucenia podstawy złotej, bez wskazania innej, przynajmniej równie solidnej, idą we wręcz przeciwnym kierunku: zwiększają w życiu gospodarczem niepewność.

UWAGI

KSZTAŁCENIE EKONOMISTÓW.

Wzajemny wpływ, jaki wywierają na siebie kierunek szkoły i życie bardzo jasno występuje w dziedzinie gospodarczej. Szybka zmiana problematów i form życia ekonomicznego powoduje pewne zacofanie programów i metod nauczania w wyższych uczelniach, które kształcą przyszłych działaczy i uczonych w tej dziedzinie. Zgóry zastrzegam się, że nie mam tu na myśli żadnej określonej uczelni, czy też wydziału, a kilka tych uwag zrodziła obserwacja ludzi, którzy po ukończeniu zakładów, rozpoczynają swą działalność życiową w dziedzinie gospodarczej.

Istnieją zasadniczo dwa cele, ku którym dążą uczelnie. Jeden utylitarny, wychowanie technika gospodarczego: urzędnika bankowego, administracyjnego, akwizytora, buchaltera i t. p.; drugi, bardziej idealny: wykształcenie badaczy i polityków przyszłego życia ekonomicznego i ewentualnych jego twórców. Oba cele osiągane są przez dobór przedmiotów nauczania i przez metodę pracy. Dogonić życie przy osiąganiu pierwszego celu jest stosunkowo łatwo. Wystarczy bacznie śledzić postęp w technice życia gospodarczego i modernizować wykłady o danej umiejętności. Jako przykład przytoczę tu konieczność zupełnego zarzucenia skróconych metod obliczania pamięciowego w arytmetyce handlowej, gdyż istnieją maszyny do rachowania, zaniechanie wykładów o nieistniejących dziś systemach pieniężnych, zarzucenie badań technologicznych w towaroznawstwie i zastąpienie ich przez znajomość marek standartowych, zastąpienie starych metod buchalteryjnych przez nowe i t. p. Znacznie trudniejszy problemat jest w odświeżeniu programu i metod tych nauk, które będą elementami dla polityków i badaczy współczesnego życia ekonomicznego. Ramy tej notatki i miejsce jej publikacji nie nadają się do szczegółowego rozpatrzenia tego szerokiego tematu z uwzględnieniem poszczególnych dziedzin, czy też przedmiotów nauczania. Poruszę zagadnienia ogólne, które jednak przenikają w każdą dziedzinę i do każdego przedmiotu.

Bywalców „zebrań ekonomicznych" najrozmaitszych typów i poziomów zawsze uderza niemożność porozumienia się ze sobą w sposób jasny i jednoznaczny. Prawie każdy używa innych terminów na określenie tej samej rzeczy i jeden i ten sam termin oznacza w dyskusjach wiele różnych pojęć.

Sytuację ratuje bądź intuicyjne zgadywanie o co mówcy chodzi, które jest tem łatwiejsze, im bardziej utalentowany jest mówca, bądź częste przebywanie w tem samem gronie, co stwarza możność ustalenia lokalnej terminologji.

Identyczna sytuacja panuje w publikacjach ekonomicznych. Zjawisko to niewątpliwie wynika z braków odpowiedniego wykształcenia w metodach myślenia i pracy w szkołach wyższych. A groźne jest ono w swych skutkach. Piękne i trudne zagadnienia ekonomji stają się oślą łąką i zniechęcają do badań ludzi o ścisłym i jasnym sposobie myślenia. Zaradzić temu należałoby przez wprowadzenie choćby krótkiego kursu logiki na pierwszym roku nauczania, następnie przez skontrolowanie przez profesorów ich własnych kursów z tego punktu widzenia, dalej przez rozpoczęcie pracy nad rewizją pojęć ekonomicznych i stworzeniem dobrej ich encyklopedji w języku polskim.

Wszystko to jednak nie zastąpi kultu jasności myśli, jaką wszyscy wykładający w szkołach powinni pielęgnować i wpajać młodzieży. Niewątpliwie część tej pracy mogliby już wykonać nauczyciele języka polskiego w szkołach średnich. Pamiętać należy, że *niema* tak trudnej myśli, któraby nie dałaby się wypowiedzieć jasno, lub któraby wymagała zdania zajmującego siedemnaście wierszy, co często zdarza się naszych publicystom.

Po tej pierwszej uwadze, której słusznie można zarzucić, że dotyczy tylko formy, przechodzę do drugiej — zupełnie innej natury — bardziej merytorycznej i odnoszącej się nie do braków ludzi, lecz do właściwości przedmiotu.

Świat zjawisk ekonomicznych przepojony jest zależnościami. Każda zmiana jednego czynnika wywołuje zmianę innych. Cała teorja ekonomji jest stale w pogoni za uchwytywaniem tych zależności, wyciąganiem ich na światło dzienne i komentowaniem przez opisy. Niejednokrotnie, dla prostoty obiera teren wąski: bada zależność między dwoma tylko czynnikami, zakładając, że reszta jest bez zmiany. Tworzy fikcje metodyczne, pożyteczne dla wprawy w rozumowaniach, lecz obce rzeczywistości.

Te dwie okoliczności: opisowość, w której występują tylko zmiany jakościowe (niemierzone) i założenie stałości innych czynników poza badanemi, stwarza tę przepaść między teorją i praktyką w ekonomji. Postaram się tę myśl objaśnić przykładem. Przypuśćmy, że w jakiemś zagadnieniu praktycznem występują trzy wielkości a, b i c, związane równaniem:

$$a = b - c$$

i zależy politykowi ekonomicznemu na tem, by a było możliwie duże, gdy w mocy jego leży zmiana wielkości b i c. Może to on uczynić dwojako: bądź przez powiększenie b, bądź przez zmniejszenie c. Przypuśćmy, że obiera on pierwszą drogę: powiększa *b*. Otóż może się zdarzyć tak, że istnieje funkcjonalna zależność między b i c, taka, że ze wzrostem b, c wzrasta jeszcze mocniej, niż b. Jeżeli założył niezależność b i c (jak czyni często teorja), to będzie zdumiony rezultatem praktycznym, który da ten efekt, że a zamiast powiększyć się, zmniejszy się i dane zarządzenie przyniesie wprost przeciwny do zamierzonego skutek. Jest to ilustracja, odnosząca się do założeń stałości. Ten sam przykład służyć nam może jeszcze, jako ilustracja tego, jak dalece niewystarczającą jest znajomość jakościowych (niemierzonych) zmian. Istotnie, przypuśćmy, że politykowi znana

jest okoliczność, że c powiększy się jakoś, gdy powiększać będziemy b. Ale co szybciej się powiększy, tego nie wie, bo teorja *nie mierzy*. Każde jego zarządzenie może dać niepewny skutek.

Ten nieco przydługi przykład wskazuje na konieczność pomiarów w ekonomji, w odniesieniu zaś do naszego tematu — konieczność wprowadzenia do programu szkół — więcej elementów *ekonometrji*, poza statystyką i teorją konjunktury, jako nauki, która w wielu wypadkach może przerzucić most między „teorją" i praktyką ekonomiczną.

Pozostaje jeszcze jedna uwaga. Istnieją ludzie, często o miernem wykształceniu ekonomicznem, a niezmiernie szczęśliwi w wyborze środków politycznych do osiągnięcia zamierzonego celu. Nazywamy ich utalentowanymi. Mnie się wydaje, że talent ich polega na wielkiej intuicji związków funkcjonalnych między elementami ekonomicznemi i „wielkości" tych elementów. Jak rozwinąć tę intuicję u studentów? Chyba przez uważne badanie współczesnego życia ze świadomością, iż zależności takie istnieją i że wiele elementów da się zmierzy.

Dr. Aleksander Grużewski.

LICZNIEJSZY ŚWIAT PRACY.

Na półkach księgarń ukazało się ostatnio nowe wydawnictwo Instytutu Gospodarstwa Społecznego p. t. „Drobny przemysł i chałupnictwo" tom II. Wydawnictwo to zawiera kilka prac o charakterze monograficznym, zmierzającym do opisania i zbadania kilku charakterystycznych odcinków pracy chałupniczej. Tom II-gi, który obecnie się ukazał, zawiera prace p. Antoniego Kuroczyckiego p. t. „Chałupnictwo garbarskie w Klecku", pracę prof. Ludwika Krzywickiego p. t. „Za kulisami w przededniu chałupnictwa w kwiaciarstwie, rok 1883", p. Zofji Brzózy p. t. „Bieliźniarstwo w Warszawie", p. Edwarda Arnekkera p. t. „Chałupnictwo sitarskie w biłgorajskiem" oraz studjum p. Zygmunta Kusocińskiego p. t. „Ustawodawstwo chałupnicze w oświetleniu porównawczem".

Nie jesteśmy w możności omawiania prac poszczególnych na tem miejscu. Pragniemy jednak podkreślić olbrzymią wagę poruszonych w tych opracowaniach zagadnień, jesteśmy bowiem przeświadczeni, że myśl świadoma, kierująca rozwojem naszego gospodarstwa narodowego z nieuniknioną koniecznością będzie musiała w niedługim czasie zwrócić się w kierunku zagadnień związanych z działalnością drobnego przemysłu i chałupnictwa.

Nie w jednej już pracy wykazywano, w jakim stopniu Polska jest krajem półkapitalistycznym, co w konsekwencji musi powodować przywiązywanie odmiennej wagi do gałęzi wielkoprzemysłowych, aniżeli dzieje się to w innych krajach. Zacytujmy tu poprostu znakomite zestawienie p. L. Landau w jego ostatniej pracy „Płace w Polsce w związku z rozwojem gospodarczym". Podczas gdy w Niemczech ludność żyjąca z pracy najemnej stanowi przeszło 2/3 ogółu — 70%, w Polsce praca najemna daje utrzymanie dwa razy mniejszej części ludności, 33%. Pochodzi to przedewszystkiem stąd, że rolnictwo, w obrębie którego wszędzie wogóle, a w Polsce w szczególności, praca najemna gra stosunkowo małą rolę, obejmuje w Polsce aż 64% ludności, w Niemczech zaś tylko 24%. Ale wpływa na to też fakt, że i wśród ludności nierolniczej udział pracy najemnej, wynosi w Niemczech 80%, w Polsce natomiast tylko 60%. Wynika to... z utrzymywania się jeszcze w szerokim zakresie drobnych warsztatów. O ile idzie o produkcję dóbr, polega to na wielkim udziale w niej rzemiosła: w Niemczech liczby ludności, związanej z przemysłem i rzemiosłem są w proporcji 2,5 : 1, w Polsce 1,2 : 1.

Mimo tych zjawisk — zupełnie niewątpliwych —wytyczne dotychczasowej polityki społecznej są przesiąknięte tendencją wybitnego popierania zagadnień, związanych z przemysłem wielkim, natomiast wielka masa zatrudnienia w przemyśle drobnym, w rzemiośle, w chałupnictwie jest z reguły pomijana i nie znajduje dostatecznego zrozumienia i poparcia wśród sfer, kierujących polityką społeczną, a w szczególności wśród przywódców odłamów życia zawodowego mas.

Możnaby tu na usprawiedliwienie dotychczasowego stanu przytoczyć całe multum słusznych argumentów. Możnaby naprzykład powoływać się na to, że pierwsze organizacje zawodowe tworzyły się wśród proletarjatu polskiego dla celów ściśle politycznych — niepodległościowych—i że było rzeczą nieuniknioną organizowanie przedewszystkiem tych sfer i grup, które najłatwiej i najprzystępniej do organizacji się nadawały, a mianowicie robotników w fabrykach. Możnaby cytować zwierzenia twórców marksizmu, iż robotnicy w fabryce są walczącą awangardą świata pracy. Nie ulega jednak wątpliwości, że poza wszelkiemi przesłankami teoretycznemi istnieje również konkretny fakt — a mianowicie świat robotnika w fabryce stanowi w naszych warunkach zorganizowaną siłę społeczną, z którą państwo się liczy i liczyć musi, a tem samem pod wpływem tej siły udziela takich lub innych pomocy i świadczeń, natomiast świat drobnego przemysłu ludowego, świat rzemiosła, chałupnictwo, stanowią rozproszkowaną masę wytwórców, żyjących i zatrudnionych na tak niskim poziomie, a zarazem wskutek rozproszenia i braku wszelkiej organizacji tak bezbronnych, iż wysunięcie tych mas i zagadnień z niemi związanych na „stół operacyjny" polityki społecznej przedstawia i jeszcze przez długi okres przedstawiać będzie, nieprzezwyciężoną trudność.

Sądzimy zresztą, że zagadnienie to będzie tem trudniejsze do rozwiązania, jeżeli rządzenie gospodarcze będzie polegało na biernem uwzględnianiu wypadkowej istniejących sił. Tylko bowiem świadoma polityka gospodarcza będzie w stanie pobudzić te masy, znaleźć środki, aby przetworzyć energję potencjalną, w masach tych tkwiącą, w czynną pracę organizacyjną — a tem samem wydobyć zagadnienia związane z masami rzemieślniczemi, chałupniczemi i drobnym przemysłem z ukrycia, oświetlić je możliwie wszechstronnie i rzucić koncepje, któreby ułatwiły masom tym bytowanie go-

spodarcze na odpowiednim poziomie w interesie ogólnopaństwowym.

Na dowód, jak dalece elementy te są u nas surowe i niezbadane — możnaby przytoczyć, że np. statystyka oficjalna Gł. Urz. Stat. dotyczy tylko ok. 400 tys. rob. zatrudnionych w górnictwie, hutnictwie i w większym przemyśle. Statystyka ta w sposób dość zresztą staranny analizuje i operuje tę masę robotniczą pod wszelkiemi kątami widzenia.

Natomiast jeśli chodzi o drobny przemysł, rzemiosło i chałupnictwo — np. wogóle niewiadomo, ile jest w całej Polsce ludności i sił czynnych zawodowo, ile warsztatów i ile wogóle jest w Polsce chałupników, nie mówiąc już, iż kwestja warunków bytowania tych mas opracowana jest w drobnych fragmentach tylko dzięki dobrej woli kilku jednostek.

Pewne materjały, dotyczące liczby chałupników oraz mas proletarjatu, związanego z drobnym przemysłem i rzemiosłem w Polsce, znajdujemy w analitycznych opracowaniach spisu ludności. Z materjałów tych wnioskujemy, że liczba czynnych zawodowo osób związanych z przemysłem drobnym zatrudniającym poniżej 20 robotników, przekracza sumę 150 tys. osób, liczba osób, zatrudnionych w chałupnictwie sięga liczby analogicznej, natomiast liczba osób zatrudnionych w rzemiośle przekracza 200 tys. osób — jeśli chodzi o siły najemne rzemiosła, przyczem poza tą liczbą istnieje ok. 250 tys. osób samodzielnych rzemieślników.

Oczywiście nie mamy możności analizowania na tem miejscu zagadnień, związanych z bytem i oceną położenia tych mas. Zadanie, które sobie w chwili obecnej stawiamy, jest znacznie skromniejsze — zmierza do wskazania, że wytyczne polityki społecznej polskiej muszą w sposób nieunikniony doznać bardzo znacznego rozszerzenia, a zainteresowania jej muszą objąć przedewszystkiem wielkie masy ludności związanej z chałupnictwem, przemysłem drobnym i rzemiosłem.

rv.

LABIRYNT EKSPORTOWY.

W jednym z poprzednich numerów „Gospodarki Narodowej" ukazała się uwaga p. t. „36 sposobów stosunków handlowych z zagranicą", traktująca o istniejących, a ściślej mówiąc obowiązujących obecnie systemach handlu kompensacyjnego. Materja uwagą tą objęta wyłuszczona została z całą możliwą i niezawodnie nie bez wysiłku stylistycznego osiągniętą jasnością. Tem niemniej artykuł sprawić musiał na czytelniku wrażenie łamigłówki; musiał wrażenie to sprawić, bo jakżeż można przejrzyście omówić metodę przechodzenia przez labirynt? Labirynt taki stanowią nie tylko przepisy, dotyczące kompensat, lecz i wszelkie inne formy popierania czy kontrolowania eksportu, wśród których przyczyny, nie tylko od nas zależne krążyć kazały eksporterowi. Jest rzeczą pewną i na szczęście nie dyskutowaną, że to krążenie należy eksporterowi ułatwić, gdzie można wyprostować ścieżki labiryntu, gdzie to niemożliwe, postawić znaki orjentacyjne, ostatecznie dać mu przewodnika, uczynić wszystko co możliwe, by jaknajłatwiej mogło być dokonane to, o co w całej tej kombinacji chodzi — tranzakcja eksportowa.

Jak to jest z temi znakami orjentacyjnemi i przewodnikami? W cytowanym artykule wymieniono instytucje, z któremi eksporter w swej splątanej pielgrzymce spotykać się może czy musi: 1° Izby Przem.-Handlowe, wydające „zaświadczenia kompensacyjne", 2° Międzyministerjalna Komisja Popierania Eksportu, wykonująca pewne formy subsydjowania wywozu, 3° Polska Centrala Kawy, dysponująca swym funduszem eksportowym, 4° cztery instytucje powiernicze, trudniące się handlem kompensacyjnym. Do tego dodać należy także instytucje powołane gwoli pomagania eksporterowi. 5° komisję wspomagającą wywóz rolniczy przy Min. Roln., 6° w najbliższej przyszłości jakąś instytucję, o działalności zastępującej obecne zwroty ceł od wyr. włókienniczych, 7° organizacje branżowe, wydające „zaświadczenia eksportu", t. j. działające w zakresie zwrotu ceł, 8° Wydział Handlu Zagr. w Min. P. i H. oraz związaną z nim Centralną Komisję Przywozową, z któremi trudno się nie spotkać, wykonując handel kompensacyjny, 9° Wywozową Komisję Rozdzielczą, zwalniającą od ceł wywozowych niektóre artykuły rolne, 10° delegatów prowincjonalnych Instytutu Eksportowego, wykonujących podobne funkcje odnośnie wywozu konfekcji, 11° Departament Przemysłowy M. P. H. działający w zakresie czynnego obrotu uszlachetniającego, 12° Wydz. Handlu Zagr. M. P. H., jako instancję zwalniającą od ceł wywozowych niektóre towary, jak np. pierze i puch. — Dosyć, bo dojechaliśmy do tuzina; możnaby jednak śmiało rozpocząć drugi tuzin najrozmaitszych biur i organizacyj, wszystkich z natężeniem pomagających eksporterowi, rządzących się swemi regulaminami, instrukcjami etc. etc.

Obsługa błąkającego się po labiryncie eksportera byłaby więc jeżeli już nie znakomita, to napewno liczna — gdyby paląco nie nasuwała się myśl, że ta obsługa właśnie, sama w sobie labirynt stanowi.

Miał bowiem miejsce w latach ostatnich, w naszej polityce popierania eksportu, proces różnicowania form tego poparcia. Proces słuszny i uzasadniony, był on bowiem dostosowaniem się do różnicowania się i komplikowania form handlu; stwarzano coraz nowe formy popierania wywozu w sensie dosłownym, lub obkładania go pewnemi rygorami, dla osiągnięcia potrzebnych rezultatów organizacyjnych. Pojawieniu się jednak każdej z tych nowych form towarzyszyły spory kompetencyjne, spór o to kto ma ją realizować. W praktyce albo powstawała nowa instytucja popierająca, abo jakiś organ zbiorowy, będący rezultatem kompromisu, w każdym razie stan organizacyjny i proceduralny różnicował się i zwłaszcza komplikował się. Nie ośmielamy się powiedzieć, że unikano, ale napewno uniknięto skoordynowania tych prac. W ten sposób osiągnięto rezultat, który przy tej metodzie postępowania osiągnięty być musiał, a mianowicie namnożono i skom-

plikowano niesłychanie formalności proceduralne, przeciwstawiane (niestety, słowo słuszne) eksporterowi, w zamiarze dopomożenia mu.

Rezultaty są czasem niezamierzenie dobre. Oto przykład. W pewnej wielkiej instytucji gospodarczej kupiec przedkłada jakieś dowody z dokonania wywozowej odprawy celnej, które udało mu się „okazyjnie tanio" kupić i pyta, co ma z niemi zrobić. Po zbadaniu radzą mu, aby je wyrzucił do kosza i pytają się, po co ten zniszczony papier wogóle kupował. „A bo ja wiem", mówi kupiec i „dokumenty" jednak chowa do portfelu, bo a nuż gdzieś, w jakiejś instytucji okażą się szczerem złotem. Rezultat niby dobry, bo eksporter, sprzedający owe papiery zarobił; ale czy naprawdę dobry i czy zamierzony?

I drugi przykład, gorszy, a nie tak rzadki, jakby można sądzić. Eksporter zamierza dokonać tranzakcji z Indjami, rynkiem dlań nowym, przypuszcza, że zarobi, ale nie jest pewien, zaczyna więc zabiegi o „poparcie". Na razie, aby nie ominąć spodziewanego „subsydjum", wywiózł ⅓ możliwej ilości towaru — i otrzymał pieniądze, zawierające spory zarobek, zanim się upewnił, że dla pozostałych 2/3 poparcia nie otrzyma. Oczekiwanie poparcia zlikwidowało tranzakcję.

Na tym stanie rzeczy cierpi eksporter, cierpi eksport, cierpią wreszcie dobre zamierzenia tych, którzy właśnie taki stan rzeczy stworzyli. Nie chodzi przytem o fakty umyślnie drastyczne, jak przytoczony ostatnio, ale o wszystkie drobne nieporozumienia i trudności, o najrozmaitsze straty z dnia na dzień ponoszone, a w sumie uzyskujące nieraz wagę decydującą dla dokonania pojedyńczej tranzakcji, a wagę bardzo poważną dla skuteczności popierania wywozu. Jednym np. z głównych celów, do którego mają prowadzić nowe formy polityki eksportowej, znacznie bardziej finezyjne i zróżnicowane od zwykłego premjowania przez zwroty ceł — miało być ujawnienie i wmocnienie aktywności handlowej pojedyńczych firm. To jest w porządku, niezależnie od zasadniczej dyskusji, jaką w tej materji możnaby prowadzić. Natomiast nie jest w porządku, że dostęp do tych form uczyniono labiryntem, przez który owa „pojedyńcza firma" o własnych siłach przejść nie może, korzysta coraz częściej z usług pośredników, których mitologicznie możnaby nazwać Ariadnami, ale lepiej będzie nazwać znanym dobrze przed wojną terminem „chadataj pa dzielam". Ariadny znajdują źródło utrzymania i uzasadnienie swego istnienia w stanie proceduralnym naszej polityki eksportowej, ale są potrzebne o tyle tylko, o ile jest potrzebny labirynt. A ten jest szkodliwy.

We wniosku z uwag powyższych nie mamy zamiaru nawoływać do skoncentrowania wszelkich poczynań, związanych z popieraniem eksportu w jednych rękach. Zrozumiałem jest, że do wykonywania różnych form tego popierania potrzebne są różne kwalifikacje, a więc i różne organy. Ale niewątpliwie błędnem jest, że każdy z tych o wiele nazbyt licznych organów stara się posiadać swój własny aparat, kontaktujący go z eksporterem. Można i należy uczynić, aby eksporter, pragnący *wykorzystać* stworzone dlań dobrodziejstwa (a więc pragnący *wykonać* zamierzenia polityki eksportowej) mógł załatwić te swoje sprawy w jednem lub niewielu miejscach, a nie błądzić z niemi wśród tuzina Annaszów i Kaifaszów.

Rozważaliśmy sprawę niejako z punktu widzenia klijenta, eksportera. Trzeba jednak zważyć, że ta dzika parcelacja popierania wywozu, ma i u swego podłoża ważne minusy. Procesowi różnicowania nie towarzyszył proces koordynowania. Mętlikowi proceduralnemu towarzyszy więc mętlik koncepcyjny, zbyt często nie wie lewica, co daje prawica, a w rezultacie dają albo zbyt mało, albo zbyt dużo. W tym stanie rzeczy suma wysiłku uczynionego dla poparcia eksportu napewno nie osiąga pełnego możliwego rezultatu. Dobór takie lub innej formy poparcia dla poszczególnych poczynań eksportowych, jednoczesność działania tych form, nasilenie poparcia — są w znacznym stopniu dziełem przypadku, co najwyżej wypadkową działań różnych i ze sobą nie związanych. Możnaby powiedzieć, że mamy do czynienia w praktyce nie z jednolitą polityką eksportową, a z szeregiem takich polityk. Dzieje się to zaś w tej dziedzinie, gdzie oszczędność wykorzystywania posiadanych środków jest szczególnie potrzebna. Tem samem potrzebna jest, jeżeli nie koncentracja, to ścisła koordynacja dyspozycyj, czego właśnie przy najlepszych chęciach dopatrzeć się trudno.

W. A. Wendorf.

NARESZCIE!

Nareszcie coś, czego tak bardzo wymagający i zawsze krytyczni współpracownicy „Gospodarki Narodowej" nie będą brali za cel swoich, ironją zaprawionych, strzałów. Nareszcie fakt, do którego można ustosunkować się pozytywnie, z uznaniem i poparciem.

Mowa o broszurze p. Stanisława Machowskiego „Wychowanie gospodarcze w nowych programach". Jest to jeden z licznych już tomików „Bibljoteki Nauczyciela Szkoły Powszechnej", wydawanej pod hasłem: „Jak realizować nowe programy szkolne".

Nie znając dokładnie całokształtu dokonywanej w szkolnictwie powszechnem reformy nauczania i nie orjentując się, czy metody, zawarte w nowym programie, są dobre, czy nie możemy mówić tylko o punkcie wyjścia i o zasadach tej części programu, która odnosi się do gospodarczego wychowania społeczeństwa, a którą p. Machowski wziął za przedmiot swej interesującej broszury.

I trzeba odrazu przyznać — punkt wyjścia jest dobrany jaknajlepiej. Nasza rzeczywistość gospodarcza odmalowana została przez autora bezstronnie, a że wypadła ona w ciemnych barwach, to już wina nie autora, lecz rzeczywistości. Zasługą p. M. jest niechęć do koloryzowania, przez co obraz naszego podłoża, naszej struktury jest zwarty i przemawia do przekonania.

Autor zwalcza zakłamany, a rozpanoszony po-

gląd, że Polska jest bogata, „mlekiem i miodem płynąca". „Opiewanego dostatku nie widzi dziecko szkolne, często na głodno deklamujące o nieprzebranych bogactwach swego kraju": jest to kapitalne ujęcie sprawy, odbiegające od szablonu, jaki się u nas, niestety, przyjął. Kraj nasz jest przeludniony, przeludniona zwłaszcza jest wieś, która ugina się pod ciężarem nędzy („samowystarczalność na poziomie życia niemal jaskiniowego") i prymitywizmu tak życia, jak i — co gorsza — myślenia. „Wbrew utartemu przekonaniu, kraj nasz nie obfituje w surowce. Surowców posiadamy niewiele, a i te, które posiadamy, są albo mało wydajne, albo zbyt kosztowne w eksplotacji". „Posiadany przez nas przemysł, poza państwowym, nie jest przemysłem polskim" (jest to pewien skrót myślowy, ale mimo to trafny); nie mamy kapitałów, pracujemy na obsługę kredytów zagranicznych. I to pracujemy słabo: robotnik polski nie posiada wysokiej kultury zawodowej robotnika Zachodu, majster czy przedsiębiorca polski, „nie roszcząc sobie pretensji do rzetelności i punktualności w wykonaniu przyjętych zobowiązań, zadawalnia się złą nawet pracą, byle wypadała tanio". Handel cierpi na brak kapitałów obrotowych i przygotowania zawodowego; mści się również brak „własnej warstwy mieszczańskiej, która w innych państwach stała się dźwignią dobrobytu społecznego".

Z tych ciemnych (może zbytnio przyciemnionych) przesłanek wypływa „program gospodarczy" szkolnictwa powszechnego. „O poziomie dobrobytu narodu nie decyduje obfitość bogactw naturalnych, lecz przedewszystkiem sam człowiek, jego energja, pracowitość i kultura": oto najistotniejszy motyw programu, który dąży do przezwyciężenia naszego ubóstwa poprzez wzbogacenie wewnętrznej treści gospodarującego narodu. Możemy w sobie wyrobić pracowitość i zaradność, przedsiębiorczość i energję, wytrwałość i poświęcenie. Brzmi to kaznodziejsko, przypomina skądinąd wypracowania szkolne z czasów przed niepodległością — a jednak jest prawdziwe i słuszne.

„Aby nasz stan ekonomiczny podnieść, aby Polskę uczynić silną ekonomicznie, musimy przedewszystkiem stać się gospodarzami własnego kraju" —pisze p. Machowski. Do realizacji tego celu są, jego zdaniem, tylko dwa środki: oszczędność i praca. Znowu komunały — pomyśli czytelnik. Tak jest: stare, banalne komunały, dość nawet wąsko ujęte, ale jakże potrzebne.

Autor mówi: konsumujemy więcej, niż potrzebujemy (a przecież konsumcja nasza jest śmiesznie niska), praca nasza jest źle zorganizowana, mało wydajna. Obniżając stopę życiową — a właściwie usuwając „z psychiki współczesnego pokolenia pożądanie trybu życia na stopie wyższej od własnych dochodów„ — oraz oszczędzając zarówno w rzeczach dużych, jak i małych, stworzymy kapitalizację, bez której nie da się rozwinąć lub założyć własnego warsztatu pracy, a w szerszem ujęciu — postęp gospodarczy nie jest możliwy. W zakresie wzmożenia wydajności pracy autor wskazuje (coprawda tylko w zakresie rolnictwa) metody i środki, które skomercjalizują dzisiejszą gospodarkę naturalną i przyczynią się do zatrudnienia nadmiaru wolnych rąk na wsi.

Z tych założeń wychodząc, p. Machowski przechodzi do szczegółów wychowania gospodarczego w programie nauki szkoły powszechnej. Realizacja jego myśli przewodnich odbywać się może w dziedzinie każdego przedmiotu, czy będzie nim język polski (ze względu na tematy ćwiczeń i czytania), historja (gdzie chodzi o ewolucję stosunków społeczno - gospodarczych) i o danie obrazu dorobku, powstałego dzięki wysiłkom i trudom wszystkich obywateli państwa), arytmetyka (połączona z praktyczną wiedzą o spółdzielczości, oszczędzaniu, handlu, buchalterji etc.), przyroda („wskazanie możliwości podnoszenia środowiska na wyższy poziom gospodarczy oraz uświadomienie znaczenia takiej działalności dla gospodarki Państwa"), geografja (porównanie naszej sytuacji gospodarczej i naszego dorobku z sytuacją i dorobkiem innych krajów), czy też — nazwane „syntezą wychowania gospodarczego w szkole powszechnej" — zajęcia praktyczne, uczące młodzież myślenia i działania ekonomicznego (np. w zakresie gospodarstwa domowego).

Jeżeli powyżej streszczony program *neo-pozytywizmu* zostanie zrealizowany i jeżeli młode pokolenia, wychodzące ze szkół powszechnych, wyjdą z nich z zasobem wiedzy ekonomicznej, niezbędnym do wkroczenia w życie i sprostania oczekującym je zadaniom, dokona się — jak konkluduje autor — „wielkie przeobrażenie naszego narodu". Szkoda tylko, że na tym odcinku, którym jest gospodarcze wychowanie społeczeństwa, jesteśmy fatalnie spóźnieni i że pod tym względem ustępujemy nawet Rosji Sowieckiej. Jednak lepiej późno, niż wcale (a zanosiło się na „wcale"). W porównaniu z tem, co było i co jest, omówiony program stanowi postęp niebywały: niewątpliwie dodatnie skutki kryzysu.

z. i.

ANDRZEJ M. NEUMAN

ZDOLNOŚĆ PRODUKCYJNA

(I) W okresie silnej depresji gospodarczej, odczuwanej w chwili obecnej we wszystkich krajach z różnem natężeniem, coraz częściej słyszy się i mówi o procesach dostosowawczych w dziedzinie produkcji. Z pośród zagadnień, nie odnoszących się do grupy badań zjawisk ściśle pieniężnych, zagadnienie dostosowania produkcji do konsumcji, lub w czasach ostatnich, konsumcji do produkcji, zdobywa sobie coraz powszechniejsze obywatelstwo, zarówno w sferach praktycznych kierowników życia gospodarczego, jak i w laboratorjach badaczy-teoretyków. Na założeniu, że można dostosować rozmiary produkcji do rozmiarów popytu, zwolennicy różnych poglądów oparli swoje rozważania. I tutaj widzimy bardzo ciekawe zjawisko, jak z jednego wspónego pnia założeń gospodarczych wyrastają zupełnie różne konary rozumowania, często nawet pozostające ze sobą w rażącej sprzeczności, a mające krańcowo różne zastosowania w dziedzinie polityki gospodarczej. Oto widzimy, że na tej hipotezie opierają się zwykle zwolennicy wyeliminowania „nieudolnych jednostek"—przez znaczne obniżanie cen, do poziomu, któryby zmusił extramarginalne jednostki do likwidacji i ustąpienia z pola. Obok tego jednak, na tem samem założeniu budują swe wnioski protagoniści polityki kartelowej, którzy są zdania, że przy pomocy „zachęconych" karteli można będzie w sposób najracjonalniejszy usunąć nadwyżki, których w danym momencie rynek nie wymaga. Zważywszy, że dziś prawie na całym świecie naskutek polityki ochronnej państw istnieją specjalnie pomyślane warunki dla tworzenia się „zachęconych" karteli, rola, którą się im przypisuje, w stosunku do usunięcia nadwyżek zdolności produkcyjnej, nabiera bardzo poważnego znaczenia.

Coraz szerzej rozpowszechnia się pogląd o możliwości i przydatności ścisłego dostosowania zdolności produkcyjnej do istniejącego stanu zatrudnienia aparatu funkcyjnego. Stąd, wszelkie sposoby, prowadzące do tego celu, uważane są za gospodarczo uzasadnione i zdrowe. Jest wszak rzeczą wiadomą, że w czasie kryzysu istnieje ogólne nastawienie do przejścia na planowanie krótkoczasowe i jak to wykazał dr. Hicks, do ogólnej likwidalności całego systemu gospodarczego. Stąd oczywiście wypływa postulat układania planu produkcji na krótkie etapy czasu, w których układy krzywych podaży i popytu mogłyby pozostawać ze sobą w jaknajściślejszym związku, oscylując w pobliżu obecnie istniejącego ich punktu przecięcia. Tego rodzaju rozważania muszą postawić ekonomistów oko w oko z dwoma niesłychanie ważnemi zagadnieniami. Przedewszystkiem, jeśli mamy dostosować system produkcyjny do potrzeb rynku, to 1) jak dalece posunąć to przystosowanie, — co uznać za nadwyżkę zdolności produkcyjnej, którą należy amputować z naszego układu gospodarczego, jako kapitał skonsumowany? A dalej, po odpowiedzeniu na pierwsze pytanie trzeba zdecydować, 2) jak przeprowadzić tego rodzaju dostosowanie, wobec faktu istnienia jednostek produkcyjnych, mimo ich częściowego tylko zatrudnienia?

Ekonomja klasyczna odpowiada na oba powyższe pytania jasno i logicznie. W układzie doskonałej konkurencji i swobodnego posuwania się czynników produkcji, procesy eliminacyjne odbywają się samoczynnie i, wobec tego, niema tam wogóle miejsca na nadmierną zdolność produkcyjną w całym systemie. Jeżeli istnieje fizyczna zdolność niewyzyskana, to wynika to jedynie z dysproporcji między naturalną stopą procentową w danym przemyśle. Gdy uwzględni się jednak oprocentowanie nietylko kapitału zatrudnionego, lecz całego kapitału, istniejącego w danym przemyśle, to okazałoby się wówczas, że obie stopy są sobie równe. Działanie tej stopy procentowej jest tu jakby automatycznem zabezpieczeniem intertemporalnej równowagi gospodarczej i ma jako skutek bardziej równomierny układ bogactwa z jednego okresu czasu na drugi *).

W tym systemie długotrwałe przesunięcie się skali popytu w kierunku niższych cen powoduje z konieczności stopniowe, lub nagłe, zmniejszenie zdolności produkcyjnej, czyli wycofanie wyspecjalizowanych czyników produkcji, bądź przez powolne procesy nieamortyzowania, bądź przez szybką konsumcję kapitału.

Tam jednak, gdzie odrzuca się założenia ekonomji klasycznej, lub gdzie istnieją warunki, utrudniające szybkie procesy dostosowawcze, jak naprzykład monopolistyczna konkurencja, zwana w literaturze amerykańskiej (Chamberlin) duopolem, tam daleko jaskrawiej uwypuklają się oba problemy, związane ze sprawą nadmiernej zdolności przemysłu i rolnictwa i innych gałęzi gospodarstwa.

II. Zakładając, że rozmiary ogólnego popytu są w gruncie rzeczy nieograniczone niczem, za wyjątkiem ceny i komplementarności, musimy się zastanowić a) jak powstać może nadmierna zdolność produkcyjna, b) jaki jest jej charakter i c) jak może się ona rozkładać w organizmie gospodarczym. Nadmierna zdolność może powstać z dwóch stron bądź wskutek przerostu aparatu produkcyjnego lub raczej jego części w stosunku do konsumcji, tak jak to twierdzą z różnemi odmianami w podejściu do zagadnienia prof. Aftalion, p. Keynes, Hobson i cały szereg innych autorów *), bądź wskutek przerostu konsumcji w stosunku do inwestycji, jak to twierdzi prof. Robbins, Hayek i szkoła londyńska, bądź wreszcie dla całego szeregu przyczyn natury ściśle technicznej, a więc np., jak powiada p. Robertson, wskutek niedoskonałej podzielności inwestycyj. Teorje te jednak muszą być czytane w ścisłym związku z teorjami konjunktury, któ-

*) czytaj: dr. Hayek i Signor Fasiani.

*) Czytaj zajmujące studjum p. M. Kaleckiego: „Próba teorji konjunktury".

rą ci zasłużeni uczeni ekonomiści tłomaczą różnemi sposobami, nazewnątrz niesłychanie się różniącemi. Wystarczy zatem, jeśli odeślemy czytelnika do tych badań konjunktury dla znalezienia pierwszej przyczyny nadmiernej zdolności produkcyjnej. Tego rodzaju dysproporcje między zdolnością produkcyjną a rzeczywistem zatrudnieniem przemysłu stanowią jedną całość z losami konjunktury gospodarczej.

Nadwyżka zdolności produkcyjnej niekoniecznie jednak musi być zjawiskiem konjunkturalnem. Może ona również dobrze powstać nawet w warunkach dynamicznej równowagi, jako zjawisko przegrupowania pierwotnych środków produkcji. I tak, przy każdem rozbudowywaniu przemysłu, zaspokajającego zwiększony popyt zawsze prawie możemy zauważyć zjawisko t. zw. dynamicznej racjonalizacji, czy tworzenie rezerwowej zdolności na dalszy antycypowany wzrost popytu. Jest to zjawisko normalne i zdrowe. Zjawisko to podkreśla amerykański profesor Clark, junior, wskazując, że nowe przemysły, lub nowe jednostki gospodarcze z początku rzadko są całkowicie zatrudnione, osiągają oszczędności jedynie dzięki pracy w dużych zakładach: dopiero po szeregu lat przychodzą dalsze oszczędności, wynikające z pełniejszego wykorzystania zdolności produkcyjnej*). W przeciwieństwie do dynamicznej racjonalizacji, teorja ekonomji odróżnia statyczną racjonalizację, która mogłaby jedynie mieć miejsce w stanie gospodarki statycznej, i jedynie w wypadku, gdyby ludzie posiadali możność dostatecznego przewidywania przyszłych wydarzeń. Oczywiście, w praktyce tego rodzaju warunki nie zachodzą i racjonalizacja statyczna jest naogół jedynie pojęciem ściśle teoretycznem, mającem wartość dla analizy ekonomicznej.

Między innemi przyczynami powstania nadwyżki zdolności produkcyjnej w życiu gospodarczem, wspomnieliśmy już o bardzo ważnej przyczynie, jaką jest niedoskonała podzielność faktorów produkcji, wówczas, gdy wchodzą one do różnych układów produkcyjnych. Trudno jednak w ramach niniejszego artykułu analizować dokładnie wszystkie możliwe przyczyny powstania nadwyżek zdolności produkcyjnej. Ograniczymy się przeto teraz do omówienia, jaki jest ich charakter, i jak rozkładają się one w różnych stadjach procesu produkcyjnego; w t. zw. technicznie trójkącie produkcji.

III. Przy omawianiu nadwyżki zdolności produkcyjnej w znaczeniu ściśle gospodarczem, należy zgóry zastrzec, że jest to pojęcie bardzo trudne do sprecyzowania i musi być ujmowane z różnych punktów widzenia, zależnie od tego, dla jakiego celu staramy się je wyprowadzić. Jest wszak rzeczą zupełnie zrozumiałą, że absolutne dostosowanie całego aparatu produkcyjnego do rzeczywistego stanu produkcji jest niema że nieosiągalne. Wahania procesu produkcji*) następują stale, — nietylko z roku na rok, ale z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Poza wahaniami międzyczasowemi, mamy wahania międzymiejscowe, jak również wahania między stadjami produkcji. Stąd praca z pełną zdolnością w jednym okresie czasu, lub w jednym przemyśle, lub w jednej miejscowości, musi oznaczać pracę ponad, lub poniżej zdolności w drugim. Gdyby wszystkie elementy, wchodzące w skład systemu produkcyjnego, były doskonale elastyczne i przesuwalne, wówczas oczywiście nie byłoby faktorów produkcji wyspecjalizowanych i problem zdolności produkcyjnej byłby uproszczony.

Problem zdolności produkcyjnej, lub jej nadwyżki powstaje wskutek tego, iż pewna część czynników produkcji musi zostać ściśle związana z danem stadjum produkcji i, raz będąc w niem zainwestowana, nie może być użyta w innem stadjum. Im gospodarka społeczna staje się bardziej kapitałowa *), czyli im więcej stosuje się dóbr kapitałowych w stosunku do innych czynników produkcji, tem bardziej musi się kapitał specjalizować i wiązać z danym procesem produkcji. I tak, naprzykład, podczas, gdy młot w rękach kowala może służyć do wykonania bardzo wielu różnych procesów produkcyjnych, to już młot elektryczny w bardzo skomplikowanej maszynie może wykonywać ściśle ograniczoną ilość czynności. W razie, gdyby zaszła potrzeba przesunięcia pierwszego z tych dwóch kapitałów do innej dziedziny produkcji, zasięg możliwości byłby stosunkowo duży, w wypadku zaś drugim zasięg zastosowania kapitału siłą rzeczy byłby bardzo ograniczony.

Przy omawianiu pojęcia zdolności produkcyjnej kapitał wyspecjalizowany, stały, odgrywa dużą rolę i można powiedzieć, że im bardziej obniża się jego udział w produkcji jednostki produktu, tem bardziej korzystnie jest on zatrudniony, aż do momentu optymalnego, gdy dyferencjalne koszta dodatkowego produktu zaczynają przekraczać koszta średnie. Wówczas produkcja zaczyna przechodzić w stan spadającego przychodu. Moment ten nie jest jednak bynajmniej jednoznaczny z momentem pracowania z pełną fizyczną zdolnością — choć możemy założyć, że pełna zdolność gospodarcza jest wówczas osiągnięta, przekroczenie tej zdolności jest możliwe, ale gospodarczo zupełnie nieracjonalne. Ten punkt jest jednym z tych wielu zajmujących momentów w życiu gospodarczem, gdzie optimum z gospodarczego punktu widzenia i optimum z technicznego punktu widzenia stoją w całkowitej opozycji — jest to konflikt między ekonomistą a inżynierem.

Fizyczna nadwyżka zdolności produkcyjnej nie powinna być pomieszana z problemem pełnego zatrudnienia, lub konsumcji kapitału. Fizyczna nadwyżka zdolności produkcyjnej zatem stanowi tę część inwestycyj w systemie produkcyjnym, która w danym momencie pozostaje ponad to, czego wymaga istniejąca struktura produkcji, gdyby ją

---

*) Czytaj Studies in the Economics of. Overhead Costs.

*) Por. art. Stackelberga w Zeitschrift f. Nationaloekonomie.

*) To pojęcie nie ma nic wspólnego z tem, co się zwykle rozumie przez ustrój kapitalistyczny.

wprawiono w pełny ruch. Wyrażając to samo językiem ekonomicznym, — ta ilość kapitałowych środków, która jest potrzebna, by utrzymać istniejącą długość przeciętnego okresu produkcji, czyli ta, która nie powoduje mniej kapitałowych metod produkowania.

Naszem zdaniem, określenie nadwyżki zdolności produkcyjnej, opierające się na obliczeniu udziału kosztów stałych na jednostkę, jest zupełnie niezadowalające. Niedawno np. prof. Allen*) próbował obliczyć rozmiar nadwyżki zdolności w przemyśle węglowym angielskim, zakładając, że istnieje ona tam, gdzie dodatkowy tonaż węgla mógłby być wydobyty bez powiększania kosztów stałych. Ta nadwyżka, jego zdaniem, jest równa różnicy między rzeczywistem wydobyciem a tem, coby mogło być wyprodukowane bez dodatkowych kosztów stałych. Tego rodzaju definicje jednak, poza szeregiem niedociągnięć w sformułowaniu, grzeszą jeszcze tem, że są to definicje czysto statyczne, i opisujące zjawiska wyłącznie aposteriorycznie. Nadwyżka zdolności produkcyjnej w takiem sformułowaniu wymaga stale założenia ceteris paribus, i nie może być obliczona dla zmieniającego się rozmiaru produkcji.

(Dok. nast.).

NOTATKI

SPÓŹNIONA RECENZJA.

Nie ulega chyba wątpliwości, że rozpowszechnienie wiedzy ekonomicznej jest bardzo ważnem dla rozwoju gospodarczego ludzkich społeczeństw. Są na świecie szczęśliwe społeczeństwa, w których wiedza ta została nabyta w ciągu stuleci drogą praktyki i jest przekazywana coraz to nowszym pokoleniom w drodze tradycji, w formie ustalonych pojęć, zwyczajów i metod pracy gospodarczej.

My nie mamy bogatych tradycyj w zakresie gospodarczym, a w tem co mamy, zbyt wiele rzeczy należy poddać rewizji. W tych warunkach sprawa nauczania wiedzy ekonomicznej ma u nas specjalnie doniosłą rolę. Baczyć więc należy by to, czego się uczy, było zgodne z nowoczesnym stanem tej wiedzy, by uczyć rzeczy istotnie potrzebnych i, wreszcie, by nauczanie to odbywało się mniej więcej według jednolitych metod i programów. W szczególności jest to ważnem w szkolnictwie zawodowem, którego wychowankowie nie mają możliwości ani potrzeby pracować nad wyborem poszczególnych doktryn ekonomicznych. Trzeba im zasobu wiadomości, niezbędnych dla dobrego wykonywania zawodu, i trochę wiadomości ogólnych, dla rozszerzenia horyzontu umysłowego.

Uwagi te nasuwają się nam na marginesie podręcznika „Geografji gospodarczej" p. J. S. Cezaka, dyrektora państwowej szkoły handlowej w Zgierzu, podręcznika zaleconego przez Min. W. R. i O. P. do użytku w szkołach zawodowych. Podręcznik ten niestety odbiega bardzo daleko od wymagań, jakim powinien odpowiadać. Zarzuty, jakie mu stawiamy, są następujące: podręcznik ten jest zaduży i zawiera moc wiadomości zupełnie niepotrzebnych i nic z geografją gospodarczą nie mających wspólnego. Czytając go, odnosi się wrażenie, że autor umieścił w nim wszystko co wiedział ze wszystkich gałęzi wiedzy. Wiele z tych wiadomości, pozatem, że są niepotrzebne, są jeszcze nieścisłe. Ponieważ jednak są to wiadomości z innych dziedzin, uczniowie będą mogli nabyć wiadomości lepszych na odpowiednich lekcjach, więc z tem pół biedy. Gorzej jest z podobnem traktowaniem spraw gospodarczych. Autor przedewszystkiem daje kiepskie definicje.

„Jeżeli sprzedajemy drobne ilości towaru bezpośrednio spożywcom, to handel taki nazywamy detalicznym, albo *drobnym*" (podkreślenia nasze). Z tej definicji wynika, że magazyn B-ci Jabłkowskich jest drobnym handlem.

„Mamy zatem wyhodowane różne rasy koni (robocze, wierzchowe i t. d."). Autor widocznie nie rozumie słowa „rasa", nie powinien go zatem używać. Jego klasyfikacja przypomina djaka, który uczył dzieci w parafjalnej szkole, że ptaki dzielą się na drapieżne, śpiewające i jadalne.

Drugą grupę cytat poświęcimy wiadomościom nieprawdziwym lub nieścisłym.

„Polska ma doniosłe znaczenie tranzytowe, jako miejsce skrzyżowania dróg". Wiadomo, że Polska leży na uboczu od dzisiejszych wielkich dróg handlowych, chociaż w przeszłości istotnie było inaczej, ale to już kilkaset lat temu. Czas zapomnieć.

„Obfite źródła naftowe są w okolicy i t. d.". Nie trzeba być ekonomistą-geografem, ażeby wiedzieć, że pokłady nafty w Polsce są na wyczerpaniu, przynajmniej te, które są znane.

„Pod tym względem (bogactwa w kopaliny), Polska przedstawia się wyjątkowo korzystnie". Tylko w zakresie węgla i cynku. Jako ogólna konstatacja, cytata powyższa fałszywie przedstawia rzeczywistość.

„Wojna światowa wysunęła na czoło potęg finansowych Stany Zjednoczone i *Anglję*". Każdy czytelnik gazet wie, że właśnie Anglja była pod tym względem na czele przed wojną, a po wojnie została z przodującego stanowiska zepchnięta. To są wiadomości nieprawdziwe, bezcelowe. Są i celowe przekręcania faktów, poto, żeby udowodnić miłą autorowi tezę. Teza ta brzmi: „Ameryka i Anglja nie znają monopolów i są krajami bogatemi, Rosja stara się wszystko zmonopolizować i cofa się w rozwoju gospodarczym. W Polsce panuje wolność gospodarcza, ale mamy monopole i przed-

siębiorstwa państwowe".

Powyższa opinja p. Cezaka o polityce gospodarczej Polski w podręczniku dla szkół zawodowych jest wogóle nie na miejscu, a sformułowanie jej jest wulgarno-perfidne i może wywierać wpływ wysoce niekorzystny na młode i niewyrobione umysły. Dla udowodnienia tej tezy autor twierdzi jeszcze, że Niemcy weszły na drogę etatyzmu dopiero w czasie wojny i wycofały się z tej drogi zaraz po wojnie. Jedno i drugie jest nieprawdą, ale autor nie mógł i nie chciał zakomunikować swoim uczniom faktu, że jest w Europie państwo, prowadzące politykę gospodarczą interwencyjną i mimo to bogate.

Na zakończenie podamy trzecią grupę cytat.

„Każda jednostka... zmuszona jest do staczania stałej walki z otaczającą przyrodą. Jest to *walka o byt,* tak nazwana przez przyrodnika angielskiego Darwina". Konstrukcja tego zdania przypomina słynne „świnia słusznie tak nazwana dla swego niechlujstwa".

„Flora i fauna przynoszą nietylko pożytek, ale i szkodę".

„Skupienia ludzkie zależą nietylko od warunków naturalnych, lecz są również natury *psychicznej*" (podkreślenie nasze). W ten tylko sposób możemy wytłumaczyć, że urodzajne obszary, jak dorzecze Amazonki są słabo zaludnione, kiedy kraje pustynne, jak Sahara i Arabja, lub wysoko położone, jak Tybet i Pamir, przyciągają ludzi i są stale zamieszkane".

„Polska może należeć do mocarstw, czyli państw o interesie światowym. Chiny są jeszcze państwem o zamkniętym interesie własnym".

Ta grupa cytat stanowi zbiór fatalnego steku głupstw i dowodów ignorancji autora. Zanotujemy jeszcze, że autor nie odróżnia przeludnienia względnego od bezwzględnego, że w książce niema rozdziału o transporcie (zagadnienie przewozów potraktowano krótko w rozdziale „komunikacje", razem ze sprawami komunikacji), że wyliczając najważniejsze zboża pomija ryż.

Przytoczyliśmy tutaj tylko nikłą część kwiatków z obszernej łąki podręcznika p. Cezaka. Na żądanie możemy służyć jeszcze. Sądzimy jednak, że powyższego wystarczy, by nie być gołosłownym w twierdzeniu, że podręcznik p. Cezaka jest skandalem kulturalnym, a dopuszczenie go przez Min. Oświaty w charakterze podręcznika dla szkół zawodowych jest drugim skandalem. Dowiadujemy się, że autor przygotowuje już czwarte wydanie i stara się o zakupienie omawianego przez nas III-go wydania przez rzeczone Ministerstwo. Do tego, w interesie naszej przyszłości gospodarczej i kulturalnej dopuścić nie należy, jeżeli bowiem są książki zasługujące na potraktowanie à la Hitler, to książką taką jest przedewszystkiem cytowany powyżej podręcznik Geografji gospodarczej.

z. sz.

OKO W OKO Z KRYZYSEM.

Kryzys jest jak bestja. „mala bestia": spojrzec mu w oczy niełatwo. Trawestując znany werset, powiemy: „Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, aniżeli dotkniętemu przez kryzys zrozumieć sens kryzysu". Kto pisze o bezpośredniem zetknięciu się z kryzysem, ten zawsze będzie narażony na porównanie z „Pamiętnikami bezrobotnych", a porównanie to z natury rzeczy wypadnie na niekorzyść piszącego.

Autorowi książki, której tytuł stał się nagłówkiem niniejszej notatki, stanął w drodze samochód. Po długich próbach i medytacjach dopiero *kierownik warsztatu* zorjentował się w przyczynach złego funkcjonowania motoru: wystarczyło uskutecznić drobny zabieg, aby się przekonać o istocie wypadku. „Ale na to trzeba było być fachowcem" — konkluduje autor. Tak jest: żeby zajrzyć bestji w oczy, nie wystarczy mieć talent reporterski. Trzeba kryzys przeżyć, odczuć go na *własnej* skórze, bezpośrednio, po człowieczemu, trzeba być „fachowcem kryzysu". Nie mamy do autora pretensyj, że nie znalazł się w rzędzie poszkodowanych, lecz zdajemy sobie sprawę, iż kryzysowi przyglądał się z przyzwoitej odległości Od „złej bestji" dzieliły go conajmniej pręty.

Z tego też powodu kto wie, czy nie stało się dobrze, że autor większość kart swej interesującej i wnikliwej książki poświęcił osobom, stojącym na płaszczyźnie urzędowej lub naukowej i nie wciągniętym bezpośrednio w wir kryzysu. Rozmowy z Panem Prezydentem, ministrami, kierownikami karteli, związków i t. p. instytucyj, wyższymi urzędnikami państwowymi i prywatnymi, profesorami i t. p. zajęły — sprawdziłem to dosyć dokładnie — 197 stron czyli 53%. tekstu; reportaż z przedstawicielami „dołów" (a rozmowy z niemi są bezsprzecznie najciekawsze i najlepiej odpowiadałyby intencjom i zadaniom książki) objął już tylko 151 stron czyli 41%. Pozostałość (22 strony, 6% tekstu) odnosi się do osobistych uwag autora, cyfr ogólnych i reportażu z wędrówki po skarbcu w Banku Polskim.

Ta dysproporcja pomiędzy głosami „góry" a obserwacją „dołu" zmienia cokolwiek założenia książki, jakiemi był możliwie objektywny i równomierny rozkład barw na obrazie polskiego kryzysu. Pomijając sam fakt, że zupełnie inną wagę gatunkową posiada oficjalne ujęcie zagadnienia przez prezesa czy dyrektora takiego czy owego związku producentów lub kupców, inną natomiast opinja bezpośrednio „poszkodowanego" producenta lub kupca, — stwierdzić należy, iż opinja tej drugiej grupy wypadła bezsprzecznie za blado. Reporter rozmawiał z rolnikami Kresów Wschodnich i Zachodnich, z bezrobotnymi 4 czy 5 ośrodków miejskich, z drobnym sklepikarzem stołecznym, z paroma robotnikami, oraz z więźniami i lokatorami „Cyrku". Nie był natomiast u chłopów Kongresówki i Małopolski, nie był w Gdyni, ani w zagłębiu naftowem, nie zapoznał się z życiem i poglądami ludności nie-polskiej, nie zetknął się z t. zw. inteligencją pracującą i t. d. Wzamian za to bardzo dużo czasu i miejsca poświęcił enuncjacjom „osobistości kierowniczych", z których tylko drobna

część (zwłaszcza faktyczni „kierownicy warsztatów“) odbiegła od szablonowego ujęcia tematu (dzięki temu np. rola kapitału zagranicznego w polskim kryzysie została poprostu zapomniana).

Jak powiedziałem, nie należy mieć o to pretensji do p. K. Wrzosa. Nie jest jego winą, że pewni ludzie, z którymi rozmawiał, nie potrafili odnaleźć właściwego sensu wywiadu. Można mu tylko zwrócić uwagę, iż stanowisko niektórych interpelowanych osób utrudniało należyte podejście do tematu. Czasami zaś podejrzewam autora, iż, poświęcając tyle uwagi poglądom „góry“, uczynił to w celach ironiczno - złośliwych.

Wystarczy np. przeczytać kapitalny rozdział p .t. „Tajemnica ceny węgla“, aby się o tem przekonać. Rozdział ten zaczyna się lapidarną wzmianką o *„Deutsche* Bank“, którego rola w *polskim* przemyśle węglowym jest aż nadto dobrze znana, następnie mówi o kalkulacji ceny węgla w kopalni, w hurcie i detalu, wspomina delikatnie o metodach sprzedaży polskich „czarnych djamentów“ w kraju i zagranicą, wreszcie przechodzi do rozmowy z dyrektorem Konwencji Węglowej. Rozmowa ta jest nader charakterystyczna: dyrektor Konwencji mówi o kopalniach, nie mówi o koncernach; rolę swą sprowadza do *„reprezentowania* konwencji nazewnątrz, wobec rządu w imieniu przemysłu, kontroli nad rynkiem wewnętrznym, obserwacji (!) rynku zagranicznego etc.; nie przeczy, że rabaty nie docierają do konsumenta, lecz nie wyciąga z tego konsekwencyj. W dziennikarzu (i u nas również) to „kunsztowne rozumowanie“ budzi szereg wątpliwości i obaw, czy aby p. dyrektor wszystko wiedział i powiedział i czy aby jest on istotnym „ośrodkiem dyspozycji“ polskiego przemysłu węglowego. Prywatne nieskartelizowane kopalnie (nie żadne „bieda - szyby“) sprzedają węgiel za 29,5 zł. tonna, gdy koncern p. dyrektora żąda 40,5 zł. (gatunek ten sam). P. Wrzos konkluduje: „Rozumiem, że to małe biuro węglowe, które odwiedziłem, ma mniejsze wydatki, aniżeli koncern. Mniejsze wydatki i mniejsze dużo, dużo mniejsze dochody. Ale może też tu tkwi „tajemnica ceny węgla“. Dziennikarz jest domyślny; nie jest nim jednak dyrektor konwencji (a może mówi co innego, niż myśli?).

Podobne wrażenie odbiera czytelnik z rozdziału o „Lewiatanie“. Nie bez satysfakcji czyta się taki niewinny, pozornie, passus: „Jeśli prezes „Lewiatana“ mówi o dobrobycie ludności rolniczej, jako o koniecznym warunku poprawy, to możnaby zapytać, czemu w realizacji tego propagowanego przez niego postulatu nie współdziałała czynnie przedewszystkiem jego organizacja? Jego organizacja byłaby skłonna czynnie współdziałać na rzecz *ofiar* klasy robotniczej“.

Albo ta rozmowa z p. W. Kuttenem („Kartele“). Rozmówca nie szczędzi słów ostrej krytyki pod adresem kartelu węglowego (brak bezpośredniego kontaktu z odbiorcą, zła obsługa spożywcy, rozrost pośrednictwa, fałszywa polityka rabatów) i jednocześnie słów pochwały pod adresem „najlepiej zorganizowanego w Polsce“ kartelu cementowego). „Rozmówca nasz nie należy do skromnych“ — pisze o nim p. W. Że prezes najlepszego kartelu nie przewidział procesu, który miał miejsce w październiku b. r. (rozmowa odbyła się w marcu) lub że zagadnienie cen cementu zbył zdaniem: „Bardzo silne ograniczenia, wprowadzone w naszych przedsiębiorstwach, umożliwiają przetrzymanie przez nas ciężkiego okresu“ — to już sprawa inna.

W „Zakończeniu“ czytamy: „Węgiel jest czarny“, nafta cuchnąca, cukier lepki. Te określenia mogą być poczytane za banalne. Będą one równie banalne, jak słuszne“. To jeden wniosek z reportażu p. Wrzosa, jego jakgdyby „credo“ społeczno-gospodarcze, tylko, że podobne wnioski można było wyciągnąć i bez autopsji kryzysu. Drugi wniosek: ludzie z „dołu“ mają mocniejsze nerwy i — chociaż są wyniszczeni głodem — lepsze zdrowie, nie mówią więc tak, jak odpowiedzieli przemysłowcy węglowi na żądanie obniżki cen węgla: „Niech przyjdą inni — my mamy już tego dość“. Trzeci wniosek i ostatni jest taki: kryzys, być może, jest tylko konjunkturalny, ale przy tej okazji odsłonił *strukturalne* oblicze kapitalizmu; kryzys stanowi więc lekcję poglądową i jako taki jest bardzo pożyteczny. I pożyteczną jest książka, która to przypomina i uprzytamnia.

z. i.

REDAKTOR ODPOWIEDZALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA“. **CZESŁAW BOBROWSKI**

Sekretarz Redakcji ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 646-64. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka“, Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.